

PŁOMYCZEK

TYGODNIK Z OBRAZKAMI DLA MŁODSZYCH DZIECI



ŚWIEŻY CHLEB.

Garnuszk, gotuj się!

Matka Marysi wyszła do miasta. Poleciała Marysi pilnować ognia na kominie aby, jak wróci, zupa była ugotowana. To też Marysia spełnia zlecenie mamy, dokłada po kawałku drzewa — ale kiedy wiedzieć będzie, że zupa już ugotowana?...

Bierze więc mały stołeczek, siada blisko komina i cichutko prosi:

— Garnuszk, gotuj się!

Nasłuchuje... Żadnej odpowiedzi. Więc głośniejsze prosi:

— Garnuszk, gotuj się!

Nic nie odpowiada. Więc, zniecierpliwiona, głośno woła:

— Garnuszk, mówię ci, gotuj się!

Ale niegrzeczny garnuszek i teraz nic nie odpowiada.

Marysia zagniewana na garnuszek idzie pod okno, w drugi kąt pokoju do swojej lalki.

Kiedy już o garnuszk zapomniała, doleciały ją jakieś szmery od strony komina. Co tam gada? Garnuszek?

Pocichutku, powolutku — aby jej garnuszek nie widział, czołga się Marysia

w stronę komina. Podnosi główkę do góry, siada na stołku i nasłuchuje...



CO ROBI ZUPKA?

Gul... Gulgul... Gulgul, gul, gul...

— A co ty tam gadasz, garnuszku?

Gul.. Gulgul.. Gul..

— Powiedz wyraźnie! Czy ci już ciepło? A co robi zupka? Gotowa?...

Gulgul.. Gul...

— Acha, zupka dla tatusia, jak powró-

ci, i dla mamusi, i dla Marysi jest gotowa. Zrozumiała Marysia.

W tej chwili weszła mama i była bardzo zadowolona, że Marysia dobrze gar-nuszka pilnowała, bo zupa już się ugotowała.

C. Wilczyńska.

Młocka.

Młóci Grzela w stodole,
pot mu spływa po czole.
Choć się trudzi, mozoli,
młocka idzie powoli:

Łup, łup, łup!...

Łup, łup, łup!...

Więc przywołał parobeczka,
parobeczka z podwóreczka.
Jeden wali, drugi wali,
aż się praca w rękach pali:
Łup-cup! Łup-cup!
Łup-cup! Łup-cup!

A gdy byli tak zajęci,
przyszedł sąsiad z własnej chęci.



Silne było to człeczysko,
zajęczało aż klepisko:

Łu-pu-cu! Łu-pu-cu!

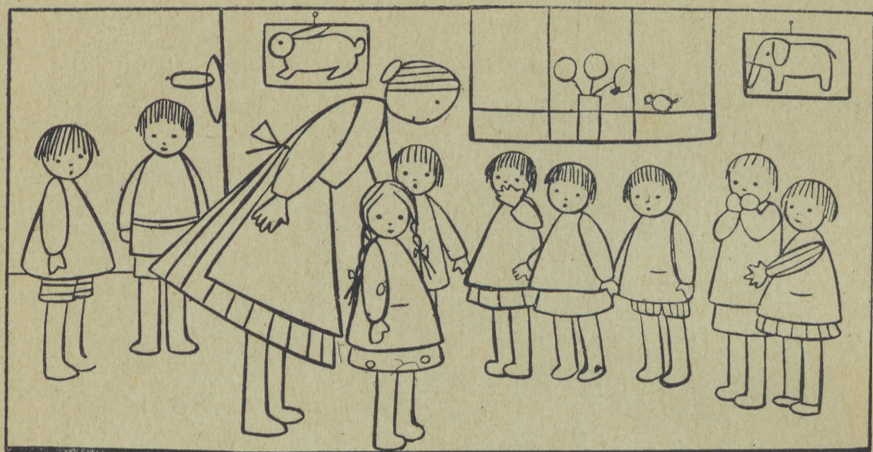
Łu-pu-cu! Łu-pu-cu!

L. Wiszniewski.

Pamiętnik Stachurki.

Wczoraj przyszła do ochronki nowa dziewczynka: Klimcia.

Ona miała takie warkoczyki pozaplatane i tak mówiła: „Dobrze, prose pani!”



KOŁO FELI TO JEST KLIMCIA.

Wszystkie dzieci zaczęły się z niej śmiać.

Ja też okropnie się zaczęłam śmiać. Wtedy Fela do mnie idzie i mówi: — Stachurko, przecież tej Klimci jest przykro, że się z niej śmiejecie!

Bo i prawda, że jej przecież przykro. Więc ja zaraz się ręką za buzię, żeby się nie śmiać i inne dzieciaki też rękami za buzię.

I teraz Klimcia już jest nasza.

A Sławek przyniósł do ochronki astry: różowe, liljowe i białe. I takie były ściśnięte...

Fela ten bukiet rozwiązała. W jeden wazonik wstawiła białe astry z liljowemi,

a w drugi same różowe i zdaleka postawiła jedno od drugich. Zaraz się te astry zrobiły takie ładne, że ojej!

Chlebuś.

Ojciec żytko kosił, kosił,
Łuka snopy nosił, nosił...

A kto będzie chlebuś jadł?

Ojciec żytko młócił, młócił,
od młynarza wrócił, wrócił...

A kto będzie chlebuś jadł?

Matuś mąkę mierzy, mierzy,
ciasto rośnie w dzieży, w dzieży...

A kto będzie chlebuś jadł?

Łuka rąbie drewka, drewka,
w piecu pali Ewka, Ewka...

A kto będzie chlebuś jadł?

Jakie bochny duże, duże!
Rety, oczy mrużę, mrużę...

A kto będzie chlebuś jadł?

Kto do pracy chętny, rad —
będzie świeży chlebuś jadł!

L. W.

Świeży chleb.

Basia lubiła pieczenie chleba.

Z komory wytaczała się do stancji dzieża, obrośla w przyschnięte ciasto.

Ta dzieża była podobno bardzo stara.

Kiedy było mamine wesele, to mamę posadzili na niej i oczepili mamę wielkim czepcem ze wstążkami. Czepiec ten do dziś dnia leży w skrzyni, w drewnianej przegródce.

Basia zna tę całą historję na pamięć. Wie, jak druchny mamie śpiewały:

„Zakukała kukaweczka na wieży.
Zapłakała Marysieczka na dzieży.
Zakukała kukaweczka tym rankiem.
Zapłakała Marysieczka za wiankiem”.

Wie, jak mamę chlebem i solą babka witała na progu, ale Basia gotowa słuchać jest o tem bez końca.

— Mamo! niech mama powie, jak to było?

I widzi mamę, jak żywą, w takim karbowanym czepcu i w kolorowych wstążkach, usadzoną na dzieży, przykrytej lnianym ręcznikiem. Skrzypce grają cieniusieńko, basy huczą, bęben wali — takie było mamine wesele.

A ta dzieża, w której się chleb teraz miesi, to ta sama. Dzieża jest kostropata i wieje z niej kwasem. Na dnie dzieży kiśnie rozczyn na nowy chleb.

Chleb się kończył. Już dzisiaj rano wzięła matka ostatni bochen z półki i rozkładała na śniadanie. Trzeba było chleb piec, ale jak tu wydażyć, kiedy robota na robotę zachodzi. Czekalnia i kapusta. Chyba po babkę posłać.

Tomkowi w to graj — do dziadków lecieć!

Dziadkowie mieszkają zaraz za lasem, na kolonji. Dziadkowie radzi zawsze dzieciom, a babka skora do pomocy.

Przyszła, zakręciła się po izbie, zakasała rękawy, wytoczyła dzieżę z komory, rozczyniła ciasto, ustawiła dzieżę bliźniętko przy samym piecu i nakryła ją ojcową kapotą.

— No, będzie mu teraz ciepło — powiedziała, przygroziła dzieciom, żeby się nie przetwierały i posłała matce pomagać szatkować kapustę.

Ciasto tymczasem rośnie... rośnie... pęcznieje.

Basia zagląda:

— O, jak ci też wyrosło, zaraz będzie kipieć! — Ale boi się o tem powiedzieć; babka nie lubi, jak do ciasta zaglądać.

Zawołał ją Tomek przez okno, więc cichaczem, chyłkiem wymknęła się z izby.

Buras, tak jakby na to czekał, przeciągnął się na kotlinie i skoczył w sam środek dzieży. Dobrze, miękko, ciepło, kapota wygrzana.

Buras drzemie rozkosznie, zaczynają mu się śnić przyjemne rzeczy.

Aż tu nagle wchodzi babka. Krzyk, trzask! Buras się znajduje pod ławą. Babka ręce załamuje, ciasto spływa w ciężkich falach po bokach dzieży. Trzeba bochenki nawałt robić. Toczy je babka na stolnicy i układa na desce, posypanej mąką. Ledwie Basia zdążyła dla Tomka i dla siebie po wyskrobku ulepić.

Teraz bochenki muszą podrosnąć, ale podrosły coś za wiele...

Już babka szast - prast, piec ożogiem wymiotła, już Basia bochenki wodą wysmarowała, już wjeżdżają do pieca na łopacie, ale ledwo się na niej mieszczą.

Tomek krzyczy, że z łopaty głową na dół polecą. Basia tylko o tem myśli, żeby się jej kukielki nie spaliły.

Wreszcie trzask! drzwiczki zamknięte, polanem podparte, węgielkami gorejącymi podsypane.

Niebardzo się chleb zdarzył tym razem, oklapły bochenki i „zakalec był na palec”, ale już nikt słowa nie powiedział, bo się babka okrutnie martwiła.

— To chyba przez tego kota, czy mąka porośnięta, czy co, jeszcze nie miałam takiego zdarzenia...

Ale matka powiedziała, że lepszy taki, jak żaden. Naznaczyła bochenek od spodu krzyżem świętym i rozkładała.

Buchnęła z niego para. Napełnił izbę miły, rzeźwy zapach świeżego chleba.

Babka wyskrobała z dzieży resztki ciasta, uturlała kukielczkę i przylepiła do dna na nowe rozczyny.

Tomek zatoczył dzieżę z powrotem do komory pod okienko, zajądając po drodze swój wyskropek, który był jeszcze lepszy, niż zawsze.

M. Kownacka.

Wiatrak.

Hej, kręcą się śmigi
z wiatrem na wyścigi,
kręcą bez pamięci,
bo wiatr niemi kręci.

A mąka się sypie,
a zboże szeleści...
Dawaj drugi worek,
w ten się już nie zmieści!

Szu-szu-szu!

A miel-że się, nasze żytko kochane,
przy pomocy Bożej z pola zebrane.
A miel-że się na ten chlebuś kolisty
z ciepła słonka, z żaru ognia złocisty.
Dalej! Dalej, mój wiatraku:

fur-fur-fur!

I zmiel wszystko, zmiel do znaku:

fur-fur-fur!

A miel-że się ty, pszeniczko złocista,
a miel-że się, a miel-że się do czysta,
na chleb Boży, na bułeczki pulchniutkie,
i na baby rozłożyste, tłusciutkie.

Na rogate, na placuszki:

szy-szy-szy!

na ciasteczka, na racuszki:

szy-szy-szy!

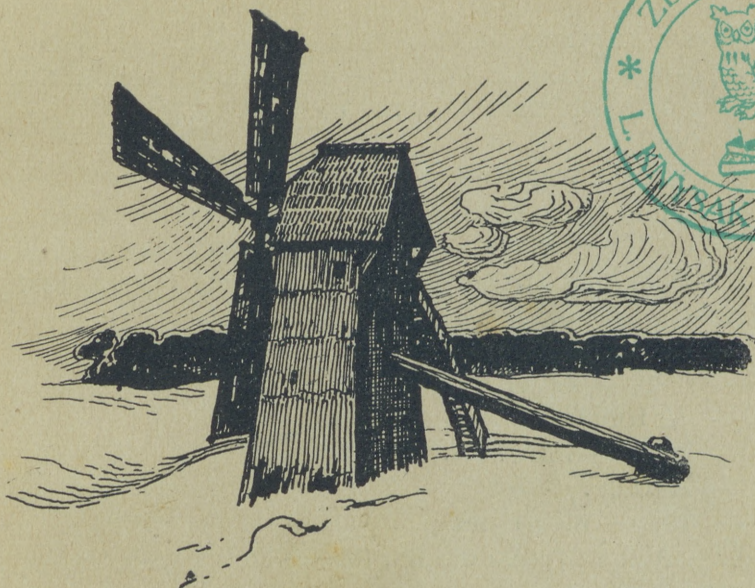
A na końcu sypnij-że nam, wiatraku,
perłoweczki, siekaneczki z przetaku.
Oj, sypie się złoty jęczmień bogato,
starczy kaszy i na zimę i w lato.

Oj, nie będzie w Polsce głodu:

tyr-tyr-tyr!

Starczy chleba dla narodu:

tyr-tyr-tyr!



Hej, kręcą się śmigi
z wiatrem na wyścigi,
kręcą bez pamięci,
bo wiatr niemi kręci.

A mąka się sypie,
a zboże szeleści...
Dawaj drugi worek,
w ten się już nie zmieści!

Szu-szu-szu...

Marja Czeska-Mączyńska.

Burek Jasia zjadł.

Ciocia Antosia piecze kruche ciastka w kuchni, a dzieci po kuchni się kręcą. Przeszkadzają.

— Nie przeszkadzajcie, dzieci — prosi ciocia. — Najlepiej idźcie się bawić do pokoju.

I, żeby prędzej sobie dzieci poszły, obiecuje im zrobić coś ładnego z ciasta.

— Zrobię wam kokoszkę z rozłożonym ogonem.

Ale dzieci nie chcą, bo taka kokoszka nie umie stać, tylko zawsze siedzi.

— Zrobię wam świnkę z zakręconym ogonkiem.

Ale dzieci nie chcą, bo taka świnka na bok się przewraca.

— Dobrze, — mówi ciocia — zrobię wam coś, czegoście jeszcze nie mieli.

Urywa kawałek ciasta i turla po stolnicy. Dzieci ciekawie wypatrują oczki. Z ciasta robi się długi i cienutki wałek.

— Co to będzie? Obwarzanek pleciony?

— Nie.

Ciocia rwie wałek na mniejsze wałeczki.

Dzieciom oczki wyskakują z ciekawości.

— Co też to ciocia robi z tych wałeczków?

A ciocia palcem dotyka kolejno dzieci i pyta, jakby nie wiedziała:

— Jak ci na imię?

— Ola — mówi Ola.

— A tobie?

— Ewa — mówi Ewa.

— A tobie?

— Jaś — mówi Jaś.

Ciocia coś prędko układa na stolnicy z wałeczków, jakby ciastem pisała.



Dzieci chwyciły ciepłe jeszcze literki...

— No, już gotowe. Patrzcie. Tu jest „Ola”, tu „Ewa”, a tu „Jaś”.

Dzieci przyglądają się żółtym literkom z błyszczącego ciasta.

— Moje literki najładniejsze, bo najokrągłejsze—chwali się Ola.

— A moje najgrubsze — woła Ewa.

Ciocia się śmieje:

— Patrzcie, teraz wsadzę w piec „Olę”, teraz „Ewę” i „Jasia”.

O, już się zarumieniły. Macie i idźcie się bawić do pokoju.

Dzieci chwyciły ciepłe jeszcze literki i wybiegły.
Ciocia Antosia spokojnie kończy swoje kruche ciasto.
Wtem otwierają się drzwi i z krzykiem wpada Ewka:

— Ciociu! Oj, ciociu!

Za nią wbiega Ola:

— Na pomoc! — krzyczy. — Na pomoc!

Ciocia aż wałek upuściła:

— Laboga! A to co się stało?

— Burek Jasia zjadł!!!

— Dzieci! Co też wy mówicie? Jakżeby Burek Jasia zjadł?

— A tak! Myśmy Jasia na chwilkę zostawili na ganku, a Burek przyleciał, paszczę otworzył: ham! i Jasia porwał. Goniliśmy go, ale uciekł!



...i Jasia porwał!

I Ewka buch! w płacz, a Ola to samo.

Ciocia rzuca ciasto i każe się prędko prowadzić w to miejsce.

Prowadzą ją na ganek.

— To tu.

Ciocia patrzy, a na schodkach siedzi Jaś cały i zdrow, tylko zabeczany.

— Jaś jest, co wyście naopowiadali, że go Burek zjadł?

— Ten Jaś jest, — mówi Ewka — ale z tamtego Jasia z ciasta, to nawet okruszki nie zostały.

Ewa Szelburg.

1)

Reksio i Pucek.

Napisał Jan Grabowski.

I.

Zacznijmy od początku, dobrze?

Są ludzie, którzy lubią psy. Mają jednego, dwa psy. Rzadko kto ma ich więcej, prawda? To są tacy zwyczajni miłośnicy psów. Ja zaś, muszę się przyznać, mam u siebie w domu psi przytułek, hotel, całe psie miasto.

Wystarczy, żebym gdzie pod płotem zobaczył szczenię, wystarczy mi spojrzeć w ślepią takiego znajdy, wystarczy, by on merdnął do mnie ogonem.

Odrazu wydaje mi się, że nie mógłbym żyć bez tego kundla, bez tego właśnie. No i cóż robić?

Biorę takiego włóczykija na ręce, niosę, jak co dobrego, do domu i puszczam na podwórze. Mam go.

Pisze się często o ludziach. Ja postanowiłem pisać o psach. Lubię je nadzwyczajnie. Znam je przynajmniej tak dobrze, jak ludzi.

Posłuchajcie więc psich życiorysów. Jeżeli was zajmą, proszę o jedno: zdobądźcie się na miłość dla tych, o których czytać będziecie. Ja i cała moja psia familja będziemy was wspominali wdzięcznem sercem.

Zaczynam.

II.

Widzicie, jak on łajdacko łypie okiem? Śmieje się ze mnie. Dlaczego? Było tak. Pewnego dnia zjawia się u mnie jakaś babina. Widzę, że ma coś pod chustką.

— Kupi pan jamnika? — powiada do mnie.

— Jamnika? Prawdziwego? — pytam.

— Jak złoto, panie, — mówi baba z zachwytem.

Wyciąga z pod chustki szczenię. Łaciate! Trochę mnie to zastanowiło. Jako żywo nigdy nie widziałem jamnika w łaty! Ale, widzę, szczenię ma nogi w ósemkę, uszy — jak łapcie, a długi taki, że aż dziw, że mu jedna jeszcze para nóg w środku dla podtrzymania brzuszka nie wyrosła. Różowym brzuszkiem wlecze po podłodze.

Przeszedł kilka kroków na prawo, cofnął się, usiadł, pa-

trzy mi w oczy niebieskimi pacioreczkami. A później, jak nie ziewnie, tak od serca! Podszedł ku mnie, dźwignął się na tylne łapy i wspina się. A oczu ze mnie nie spuszcza. Wyciągnąłem do niego rękę. Liznął mnie.

— Będzie bardzo przywiązany — powiada baba.

Ale, że widać świerzbiły go dżiąsła, więc mnie uciął porządnie w palec, aż syknąłem z bólu.

— Zły! będzie z niego dobry stróż — g a d a znow moja babina. — Niema, p a n i e, jak jamnik! I dobre to i złe, a mądre, jak człowiek. Zostawić?

— I, moi drodzy — mówię. — Mam już d o ś ć. Będę tam kupował jeszcze jednego.

— Jamnika? Prawdziwego jamnika pan nie kupiłby? — pyta baba zgorszona.

Skrzywiłem się. Babina jak nie porwie psiny, jak nie zacznie go obracać na wszystkie strony. To mi podtyka pod oczy nogi, to ogon, to głowę, to majta mi przed oczyma uszami. A dogaduje, a zachwala! Sam król nie może mieć ładniejszego psa. Pyta mnie wreszcie:

— Miał też pan prawdziwego jamnika?

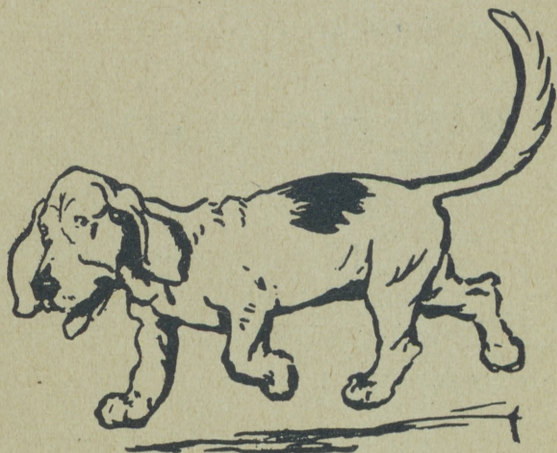
— Nie miałem — powiedziałam wstydliwie.

— To pan musi kupić i koniec. Zostawiam psa. Po pieniądze przyjdę później.

Poszła. Cóż było robić? Wziąłem szczenię, „prawdziwego jamnika”, zaniósłem na podwórze.

Po ostatnim psiem niemowlęciu został mi koszyk. Wymościłem go słomą, wysłałem. Położyłem nowy nabytek, okryłem, chcę iść. Ale, ani gadania. Szczeniak drze się zapamiętale. Cichnie jednak natychmiast, gdy się zbliżam.

Dalszy ciąg nastąpi.



ŻYWY „PŁOMYCZEK”.

Dnia 29-go października, o godzinie 5-tej popołudniu wypowiedziany, odegrany i wyśpiewany będzie przez radio: Żywy numer „Płomyczka”. Kto z Was ma możliwość słuchania przez radio, niechże zapamięta dobrze: dnia 29-go października, w sobotę, o godzinie 5-ej! A potem napiszcie do nas, jak Wam się to podobało — dobrze?

Kto pierwszy odgadnie?

ŁAMIGŁÓWKA PATYCZKOWA.



Jak z czternastu patyczków, ułożonych w ten sposób, zrobić trzydzieści po odrzuceniu trzech patyczków? Oprócz trzech patyczków odjętych, innych nie można ruszać.

ŁAMIGŁÓWKA.

Przez — **k** — każda ma roślina
na wiosnę lub w lecie.

Przez — **ś** — ludzie zamieszkują,
zapewne to wiecie.

WARUNKI PRENUMERATY:

„Płomyczek”	miesięcznie 1 zł. —	— za cały rok szkolny	9 zł.
„Płomyczek” z „Płomykiem”	miesięcznie 2 zł. —	— „ „ „ „	18 zł.
„Płomyk”	miesięcznie 1 zł. 50 gr. —	— „ „ „ „	14 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyczka” z „Płomykiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18. Konto czekowe P. K. O № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godz. 9 rano do 7 wiecz. Prenumeratę przyjmuje oprócz administracji „Nasza Księgarnia” — ul. Widok 22 i Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — ul. Marszałkowska № 123.

Wydawca: W imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — JANINA PORAZIŃSKA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.